



Kobiety i klimat: czyje dobra wspólne?

Globalne ocieplenie przedstawiane jest jako tragedia dóbr wspólnych.

Metafora ta zakorzeniła się w społecznej wyobraźni śladem artykułu Garretta Hardina z 1968 roku (po polsku w 1992), który opowiadał o tragedii wspólnego pastwiska, gdzie pasterze kierując się indywidualnym racjonalnym wyborem, zwiększali liczebność stada, aż pastwisko zostało wyżałowione. Hardin wywnioskował, iż tylko kontrola wzrostu populacji oraz prywatyzacja ocali wspólne zasoby. Nie wziął pod uwagę, iż także własność prywatna (choćby korporacje wydobywcze czy przemysłowa produkcja żywności), podobnie jak własność państwowa, prowadzi do niszczenia przyrody. W argumentach Hardina dużą rolę odgrywał wzrost ludnościowy. Był on między innymi zwolennikiem zaprzestania pomocy żywnościowej dla głodującej Afryki, aby „dać im lekcję demograficzną”.

Hardina koncepcja tragedii dóbr wspólnych była krytykowana między innymi przez niedawną noblistkę Elinor Oström. Prowadziła ona badania empiryczne, skupiające się na instytucjonalnych rozwiązaniach, za pomocą których lokalne społeczności zarządzają wspólnymi zasobami. Oström nie odnosiła się jednak do wpływu zewnętrznych warunków, na przykład programów strukturalnego dostosowania, polityk rozwojowych państwa, przemocy związanej z wywłaszczaniem ludzi z dóbr wspólnych.

Wraz ze Szczytem Ziemi, konferencją w Rio de Janeiro z 1992 roku, upowszechniła się koncepcja globalnej ekologii i globalnych dóbr wspólnych, wspierana przez obraz błękitnej planety zawieszanej

w przestrzeni, którą wszyscy musimy ocalić. Globalni menadżerowie dóbr wspólnych ujmowali np. lasy deszczowe w Amazonii jako dobra wspólne i zielone płuca planety. Ale stare kanadyjskie, amerykańskie i syberyjskie drzewostany, wycinane, aby zaspokoić żarłoczne młyny produkcji, konsumpcji i generacji zysków, to nie były już globalne dobra wspólne, ale własność prywatna i państwowa. Takie ujęcie globalnych dóbr wspólnych, o czym pisze Ariel Salleh, uzasadniało odebranie ich lokalnym społecznościom, dla których stanowiły one podstawy do życia.

Podczas gdy powietrze jest postrzegane jako dobro wspólne, polityka klimatyczna ujęła zanieczyszczenia powietrza jako rynek. Przyroda jest prywatyzowana, aby ją ocalić. De facto chodzi o otwieranie nowych możliwości inwestowania i ekspansji kapitału. Analogiczne procesy miały miejsce w polityce społecznej (np. finansjalizacja i oddawanie składek emerytalnych rynek finansowy).

W tym roku książka Elinor Oström, *Dysponowanie wspólnymi zasobami* (*Governing the Commons, Institutions for collective action*) ukazała się po polsku ze wstępem Leszka Balcerowicza. Temu wykonawcy polskiej terapii szokowej Oström ujęcie dóbr wspólnych przypadło do gustu, gdyż pozwala realizować koncepcje sprawnego „odchudzonego” państwa, które wycofuje się z odpowiedzialności za sferę społeczną i przyrodę, przerzucając ją na lokalne społeczności, podczas gdy jednocześnie państwo działa na korzyść kapitału i samo staje się inwestorem.

Metafora dóbr wspólnych jest wykorzystywana do mobilizacji emocji i przerzucania odpowiedzial-

ności za klimat na jednostki i tzw. ostatecznego konsumenta lub podatnika. Natomiast inwestorzy czy firmy mają zarabiać na prawach do zanieczyszczenia środowiska i handlu emisjami czy przyrodzie sprywatyzowanej jako „usługi ekosystemowe”, bądź dostawca dotacje lub rabaty podatkowe za proekologiczne inwestycje. Spójrzmy choćby na logo COP 19 i jego uzasadnienie przez polskiego ministra ochrony środowiska, który wyzwa jednostki do oszczędzania energii, a jednocześnie negocjuje z wielkim biznesem prywatyzację atmosfery.

Dobra wspólne w ujęciu feministycznym

Dobra wspólne to wszelkiego rodzaju zasoby, które pozwalają ludziom odtwarzać się jako istoty społeczne. Składają się na nie: środowisko przyrodnicze, języki, kultury, wspólne instytucje i prawa oraz infrastruktura materialna wytworzona przez ludzi. Współwłasność tych dóbr nie polega na ścisłej prawnej definicji „własności”, ale na tym, że określone zasoby stanowią podstawy do życia, są dziełem wspólnej pracy wielu ludzi i korzysta z nich wspólnota jako pewna całość (wieś, dzielnica, miasto, kraj, planeta). Nie są zatem po prostu „kapitałem”, ale są właśnie tym, co tworzy relacje.

W związku z tym, że podstawą życia ludzi jest w ostateczności przyroda (powietrze, woda i ziemia oraz cała biosfera), dobra wspólne są formą relacji między ludźmi a przyrodą. Od tego, jak wykorzystujemy i dystrybuujemy zasoby naturalne, zależy zatem reprodukcja życia codziennego, a także przyszłość naszej planety i nas wszystkich. Człowiek nie jest „panem” przyrody. Przyroda i ludzie współzależą od siebie na-

wzajem. Ariel Salleh pisze o pracy metaindustrialnej, w tym opiekunczej i regenerującej przyrodę pracy kobiet z rodzimych społeczności, sprzyjającej „magazynowaniu” CO2 i ochronie klimatu.

Sylvia Federici czy Ana Isla uważają, iż na dobra wspólne składają się tak przyroda, jak i praca reprodukcyjna. Dziś w kraju takim jak Polska praca ta zorganizowana jest wokół instytucji zdrowia, edukacji, opieki i opiera się w dużym stopniu na bezpłatnej pracy gospodarstw domowych. Praca opiekuncza nad dziećmi, chorymi i osobami starszymi jest uwarunkowana dostępnością dóbr wspólnych. Gdy mówimy o zdrowiu jako dobru wspólnym, to mamy na myśli zdrowe jedzenie, wodę i powietrze, wiedzę medyczną oraz dostęp do przychodni czy szpitali, przestrzeń do wypoczynku. Podobnie, trudno wyobrazić sobie dziś opiekę i wychowanie dzieci bez powszechnego dostępu do takich instytucji, jak żłobki, przedszkola i szkoły. To właśnie rola reprodukcji społecznej jest kluczowa w zrozumieniu silnego zaangażowania kobiet w obronę dóbr wspólnych, gdyż dostęp do nich (w tym do wspólnych zasobów przyrody), wyznacza możliwości dla pracy opiekunczej, która w większości spoczywa na ich barkach.

Trzeba bronić dóbr wspólnych

Nie warto bronić polityki klimatycznej najbogatszych państw i wielkiego biznesu, które prywatyzują przyrodę. Warto natomiast bronić dóbr wspólnych w ujęciu praw człowieka i reprodukcji życia codziennego. Zanik wspólnych dóbr zawsze oznacza zanik wspólnoty. Federici argumentuje, że niszc-

zenie dóbr wspólnych jest charakterystyczne dla kapitalistycznych procesów akumulacji pierwotnej w ramach których dobra są włączane poprzez ich „groźnienie” i tworzenie nadających się do handlu towarów. W procesie tym zamieniono ekosystemy na dające się zmierzyć i wycenić nieruchomości, codzienną aktywność ludzi na siłę roboczą i kapitał, a zaufanie społeczne na pieniądze i kredyt. Postępujący podział i indywidualizacja pracy dawała większą kontrolę władzy nad ludźmi, jednocześnie wytwarzając nierówności społeczne i usuwając z pola widzenia eksploatację przyrody.

Dobra wspólne to perspektywa postrzegania historii jako procesów, które wytwarzają wspólnoty ludzkie i budują relacje między nimi a przyrodą. W takiej optyce walka lokalnych społeczności przeciw zanieczyszczeniu ziemi i wody, np. przez wydobywanie gazu łupkowego (w Polsce w Żurawlowie, w USA w Dakocie) – powinna być łączona z innymi inicjatywami, jak obrona przedszkoli, szkół czy bibliotek w małych miejscowościach, sprzeciw wobec prywatyzacji szpitali i domów opieki, wobec odbierania praw nabytych (np. do emerytury czy zasiłków opiekuńczych), walka o wolność (do tworzenia i od kontroli) internetu, obrona praw pracowniczych i lokatorskich.

.....
(mm-ech)

Tekst odwołuje się do artykułów z Biblioteki Online Think Tanku Feministycznego (www.ekologiasztuka.pl/think.tank.feministyczny) i Biblioteki Ekologia Polityczna www.ekologiasztuka.pl/ekologia.ekonomia

Komputery: ucieleśniona energia i praca

Główny nurt debaty o klimacie skrupulatnie omija ekonomiczne przyczyny globalnego ocieplenia, w tym związek między akumulacją węgla w atmosferze a akumulacją kapitału. Nie widzi także klimatu z perspektyw ludzi.

Zamiast tego promuje jurydyczno-finansowe instrumenty, jak prawa do zanieczyszczenia i rynki handlu pozwoleniami na emisję i pokłada nadzieje w nowych technologiach. Jednym z „magicznych rozwiązań” kryzysu klimatycznego ma być komputeryzacja. Rola nowych technologii informatycznych w przyspieszeniu i globalizacji produkcji – która skutkuje wzrostem zapotrzebowania na surowce i energię, w tym transport, aby produkty dotarły z odległych fabryk do konsumentów – nie jest brana pod uwagę.

Zapotrzebowanie na energię zwiększają e-bankowość i e-państwo, w tym serwerownie mniej i bardziej tajnych służb, które kom-

pletują dane o obywatelach, swoich i obcych państw, aby ich kontrolować. Toteż nic dziwnego, iż bezpośredni wzrost zużycia energii związany z komputeryzacją i telekomunikacją systematycznie wzrasta. Z niedawnych szacunków wynika, iż ich udział w zużyciu energii wynosi już łącznie 14,7 %.

W każdym komputerze czy telefonie komórkowym ucieleśniona jest energia, niezbędna do wydobywania surowców, produkcji urządzenia, dystrybucji, użycia, składowania odpadów czy recyklingu. Koncepcje energii ucieleśnionej sformułował ekologiczny ekonomista Robert Costanza w latach 70. ub. wieku. Od tamtej pory wiele ośrodków naukowych i organizacji pozarządowych wyliczało ekologiczny ślad komputera, w tym zapotrzebowanie na energię, jak i na surowce.

Badacze i aktywiści zwracają także uwagę na koszty społeczne – zarówno w sensie zdrowia, jak i utraczonych podstaw do życia. Koszty te

ponoszą lokalne społeczności, tam, gdzie wydobywane są surowce (np. wojny surowcowe o koltan w Demokratycznej Republice Konga), tam, gdzie produkowane i używane są urządzenia, czyli na przykład w Polsce, czy tam, gdzie odbywa się chałupniczy recykling komputerowych odpadów, jak np. w wioskach w południowo-wschodnich Chinach. Skutki utraty zdrowia i podstaw do życia (zdolności do pracy, utrzymania siebie i rodziny czy dostępu do wody pitnej lub nieskażonej ziemi, a tym samym możliwości produkcji żywności na własne potrzeby i lokalne rynki) w efekcie wydobywania surowców czy niskopłatnej, wyczerpującej pracy w dużej mierze obciążają kobiety, na których spoczywa odpowiedzialność za opiekę i reprodukcję życia codziennego. Każdy sprzęt elektroniczny zawiera zatem nie tylko ucieleśnioną energię, ale także ucieleśnioną pracę, w tym opiekunczą czy reprodukcyjną pracę kobiet, bez której praca najemna nie byłaby możliwa. Kobiety są obecne po dwóch stronach łańcucha wytwarzania takiego sprzętu: niektóre z nich to inwestycyjne bankierki czy dyrektorki firm, większość jednak stanowią pracownice globalnych montowni przemysłu elektronicznego. Te drugie pracują za grosze w warunkach szkodliwych dla zdrowia, nawet do 16 godzin na dobę.

Jak pokazały badania Think Tanku Feministycznego, w specjalnej strefie ekonomicznej LG pod Wrocław-



fot. M. Maciejewska

wiem w południowo-zachodniej Polsce montownie sprzętu elektronicznego jak w soczewce skupiają sprzężone problemy wysysania energii i pracy z ludzi i przyrody. W tajwańsko-chińskiej korporacji Chung Hong (montownia płyt głównych dla LG), zwolnionej z podatków od dochodów i podatków lokalnych (w tym od zajmowanej ziemi) i korzystającej z dotacji do kosztów pracy i obniżek cen prądu (dla przemysłu), kobiety w oparach toksycznych substancji wykonują zawyżone normy za minimalnym wynagrodzeniem (z czego płacą podatki). Zatrudniane są na tymczasowych umowach o pracę lub przez agencje pracy tymczasowej, nie mają przy tym niemal żadnych

zabezpieczeń społecznych, a ich praca pracownicza są łamane.

Przykład komputeryzacji pokazuje, iż nowe technologie nie są magicznym rozwiązaniem. Potrzebne są fundamentalne zmiany we wzorach produkcji, dystrybucji i konsumpcji na rzecz zmniejszenia presji, jaką m.in. przemysł IT wywiera na środowisko i pracę ludzi. Wymaga to jednak zmian instytucjonalnych. Dopiero wtedy w centrum polityk klimatycznych będzie można postawić godne warunki życia ludzi i odtwarzanie się przyrody. Bez głębokich przeobrażeń i zmiany systemowej nie ma szans na wstrzymanie zmian klimatu.

.....
(gm-ech)

Bal dla trucicieli

Feministyczna krytyka polityki klimatycznej



– Czy jest ktoś bardziej od nas zaangażowany w ochronę klimatu? – pyta Marcin Korolec, polski minister ochrony środowiska. W wywiadzie dla BusinessGreen z lipca 2013 r. daje przykład największej w Europie plantacji biomasy (projekt dwóch amerykańskich korporacji International Paper i GreenWood Resources), gdzie na 10 tys. hektarów zasadzone zostaną topole. Wcześniej firma kupowała drewno od Polskich Lasów. Nie tylko lasy płoną, by ocalać atmosferę. Plantacja topoli powstaje w ramach leasingu ziemi od rolników. Zielone miejsca pracy, flagowy projekt zielonej gospodarki zostaną zlikwidowane w rolnictwie i produkcji żywności, by tworzyć nowe zielone miejsca pracy w przemysłowych plantacjach biomasy – jak się twierdzi, po to, by stopniowo zredukować udział węgla w spalaniu i emisje gazów szklarniowych do atmosfery, zastępując go odnawialnymi źródłami energii (OZE), i przejść do gospodarki niskoemisyjnej. Takie też są proklamowane cele polityki klimatycznej, zaprojektowanej jako system pozytywnych bodźców, które mają zachęcić korporacje i kraje do redukcji emisji i przejścia „do konkurencyjnej, niskoemisyjnej gospodarki”. Polityka ta opiera się na trzech filarach podarunków i korzyści, przyznawanych największym emitentom gazów szklarniowych.

Pierwsza zachęta to subsydia, bezwrotne dotacje i rabaty podatkowe. W nowej perspektywie finansowej 20% budżetu Unii Europejskiej ma być przeznaczony na „inwestycje w klimat”, co otwiera nowe rynki finansowane ze środków publicznych. Druga „nagroda” dla największych emitentów gazów szklarniowych to pozwolenia na emisje oraz kredyty, aby je rozliczyć. Firmy otrzymują (lub kupują) ekocertyfikaty za udział energii z odnawialnych źródeł (OZE), za energooszczędność czy za współspalanie. Pozwolenia na emisje do określonego pułapu są przydzielane firmom nieodpłatnie. Powyżej tego pułapu, jeśli nie podejmą inwestycji w redukcję zanieczyszczeń, muszą kupić je od innych firm, które dokonały „inwestycji w klimat” i mają nadwyżkę pozwoleń.

Logika tego rozwiązania opiera się na niezachwianej wierze w doskonały mechanizm rynkowy oraz na ekonomicznej teorii praw do zanieczyszczania środowiska, która zakłada, iż z czasem konkurencja na rynku pozwoleń doprowadzi do optymalizacji kosztów zanieczyszczeń, toteż ilość ścieków i emisji do środowiska zostanie zredukowana. Wszystko to wygląda świetnie w teorii i nie sprawdza się w rzeczywistości.

Pytania o to, kto zarabia na truci i „ocalaniu” atmosfery oraz kto za to podwójnie płaci, nie są zadawane

W wykładni prawa handlowego pozwolenia na emisje stanowią prawa majątkowe korporacji. Praktycznie można powiedzieć, iż są tytułem własności do ziemskiej atmosfery i powietrza, którym oddychamy. Najlepiej być właścicielem, który zarabia zarówno na zanieczyszczaniu, jak i na ochronie przyrody. Takie optymalne dla biznesu wyjście z sytuacji gwarantuje nowa polityka klimatyczna, w tym opisany powyżej Europejski System Handlu Emisjami (EU ETS) wprowadzony w życie w 2005 roku, jak i Protokół z Kioto (1997).

Aby ułatwić firmom i krajom rozliczanie się z zanieczyszczeń, powstał system kredytów. W żargonie polityki klimatycznej są to mechanizmy ofsetowe (Mechanizm Czystego Rozwoju i pokrewne programy), które działają w ten sposób, iż na przykład firma emitująca CO₂ w Holandii czy w USA pozyskuje ziemię w Tanzanii i sadzi tam eukaliptusy, aby z tego kredytu rozliczyć emisję w swoim kraju. W ten sposób można nie redukować emisji u źródeł, kontynuować biznes jak zwykle i jeszcze zarobić. (O społecznych kosztach tego rozwiązania zobacz: Iza Desperak i Ana Isla, o sprzedawaniu tlenu i seksu w Kostaryce). Jak piszą autorzy raportu Carbon Watch, dzięki

projektom ofsetowym Unia Europejska „może osiągnąć cele redukcji emisji do r. 2020, nie podejmując ku temu żadnych działań w państwach członkowskich”.

Trzeci zestaw korzyści dla korporacji – emitentów węgla do atmosfery, jak i dla firm inwestycyjnych i banków, to tworzone widzialną ręką państw i instytucji międzynarodowych nowe wirtualne rynki handlu wirtualnymi produktami, to jest pozwoleniami na emisje czy innymi ekocertyfikatami. Point Carbon i WWF oszacowały, iż dochody przemysłu energetycznego w latach 2008-2012 z tytułu ETS na 23 do 73 miliardów euro. Pozwolenia na emisje i inne ekocertyfikaty otwierają kuszący zestaw możliwości dodatkowych, w tym wirtualnie księgowanych zysków. Weźmy przykład Dalkii Łódź, która otrzymała ekocertyfikaty za modernizację sieci na sześciu ulicach w mieście. Koszt inwestycji, podobnie jak koszt ekocertyfikatów, które musi kupić, by wirtualnie udokumentować np. udział biomasy w spalaniu, dopisuje do rachunku ostatecznych użytkowników. Pozwolenia na emisje z kolei księguje nad kreską jako przychody i aktywa. Może także zarobić na handlu pozwoleniami, które dostała nieodpłatnie. W perspektywie finansowej 2013-2020 spółki Dalkii w Polsce otrzymały

Prawie nikt nie chce zobaczyć „króla bez ubrania”. Nie ma krytyki założeń polityki, która prywatyzuje przyrodę, tak jak niemal nie ma krytyki neoliberalizacji polityki społecznej

przydział zielonych certyfikatów (w ramach EU ETS) wartości 96,2 mld euro. Toteż nic dziwnego, iż Dalkia, podobnie jak inne firmy i ich przedstawicielskie organizacje, w tym Konfederacja Prywatnych Pracodawców Lewiatan, GreenEffort Group czy podobne organizacje na całym świecie, uprawiają medialną perswazję i dzielą się rolami dobrego i złego

policjanta, by zabezpieczyć stabilność tych rozwiązań i ich globalny zasięg.

Aby takie rynki mogły powstać, tworzona jest nowa publiczno-prywatna biurokracja czy przemysł klimatyczny (eksperti zarządzania środowiskiem, ekonomiści, prawnicy, księgowi, bankierzy), która szacuje i weryfikuje emisje oraz kreuje, certyfikuje, księguje i prowadzi obrót nowymi wirtualnymi produktami. Obrót uprawnieniami do emisji i ekocertyfikatami otwiera nowe możliwości spekulacji przyrodą. Dla rynków finansowych woda, powietrze, bioróżnorodność to nowe horyzonty zysków, „ziemia niczyja” do zagospodarowania, tym razem przy pomocy inżynierii finansowej. Jak wskazuje analiza fundacji Boella, polityka klimatyczna została zawładnięta przez kompleks finansowo-energetyczny (Verolme i inni, 2013).

Polska polityka klimatyczna: ekonomiczny nacjonalizm i globalizacja handlu emisjami

Polityka ochrony środowiska, w tym klimatyczna, nie byłaby przedmiotem zainteresowania kolejnych polskich rządów, gdyby nie zobowiązania wynikające z członkostwa w Unii Europejskiej oraz płynące od unijnych podatników środki. Już w r. 1992, na Szczycie Ziemi w Rio polski minister ochrony środowiska mówił, iż najpierw musimy się wzbogacić, a potem będziemy chronić przyrodę. Tak stało do dzisiaj.

Po kryzysie z 2008 roku i fasku nadziei na wzrost zagranicznych inwestycji polski rząd zmodyfikował wcześniej przyjętą strategię rozwoju, według której Polska miała stać się światową gospodarczą potęgą do 2030 roku. Wraz z tymi planami odłożono do lamusa retorykę harmonizacji polityki klimatycznej i energetycznej za pomocą inwestycji w nowe technologie wydobywania i spalania węgla, inwestycje w OZE i energooszczędność oraz w energetykę atomową. W Narodowym Programie Rozwoju Gospodarki Niskoemisyjnej z r. 2011 „ochrona środowiska ujęta jest jako „uzyskanie korzyści środowiskowych”. W zmodyfikowa-

nej strategii ze stycznia 2013 r. bezpieczeństwo energetyczne zostało zdefiniowane na nowo jako „zapewnienie optymalnej ilości energii po możliwie niskich cenach i dywersyfikacja źródeł”. – *Przyszłość Polski i Europy to węgiel – mówił Donald Tusk na konwencji PO w tym roku. – Na OZE będzie tyle pieniędzy, ile trzeba na ochronę środowiska i zrównoważony miks energetyczny, ale nic więcej. Nie będziemy umawiali Polakom, że baterie słoneczne i wiatraki to jest energetyczna przyszłość Polski... Nasze źródła energii będą polskim źródłem energii i polskiej niepodległości energetycznej na długie lata. Polskie źródła energii to węgiel, gaz i gaz łupkowy (nowe eldorado) oraz energetyka atomowa, gdzie nowym politycznym hitem jest są lokalne elektrownie atomowe do kogeneracji prądu i ciepła. Wystąpienie Donalda Tuska należy czytać w tle rozkwitu dyskursu na temat bezpieczeństwa narodowego, który tworzy nową ramę porozumienia elit rządzących niekończącą się neoliberalną transformacją (jest jeszcze tyle do sprywatyzowania...). Postawiono w nim na militarną, policyjną i gospodarczą moc Polski, na płodność Polek (wzrost demograficzny) oraz spięto razem bezpieczeństwo energetyczne, militarne i gospodarcze.*

Politycy z rządzącej koalicji grają na dwie ręce. W wywiadzie z lipca tego roku minister gospodarki Janusz Piechociński zapowiada, iż trzeba renegocjować pakiet klimatyczny i zmodyfikować wskaźniki dla wschodzących gospodarek. Wtórują mu polskie firmy energetyczne i przemysł ciężki. Politycy i media podkreślają, iż Polska dużo traci na polityce klimatycznej. Tymczasem tylko z tytułu sprzedaży ponadnormatywnych nadwyżek emisji CO₂ (dla Kioto odniesieniem była redukcja emisji w porównaniu do r. 1998, dla EU ETS od r. 2005) Polska zarobiła 800 milionów złotych. W Polsce pozwolenia będą przyznawane wielkim firmom energetycznym bezpłatnie do r. 2019, w starych krajach UE od r. 2013 do 2027 są zastępowane systemem aukcyjnym. Nie widać więc, aby gospodarka upadała pod ciężarem polityki klimatycznej. Ale takie argumenty są przydatne do utrzymania korzyści.

Z kolei minister ochrony środowiska w licznych wywiadach krytykuje nierówny podział obciążeń między krajami i wypowiada się na rzecz paktu globalnego. W tle tej agendy są projekty Banku Światowego na rzecz tworzenia instytucjonalnych rozwiązań, które pozwolą na globalizację modelu EU ETS.

Niestety, EU ETS jak kula śniegowa będzie się toczył dalej, dopóki nie rozpuści jej globalne ocieplenie, o ile wcześniej nie dojdzie do „resetu polityki klimatycznej”. Słuchając globalnych decydentów i polskich polityków, w tym ministra Korolca, można domniemać, że taki reset jest przygotowywany. Nie chodzi jednak o likwidację handlu emisjami, ale o jego globalizację.

NGO-sy i urynkowanie klimatu

Większość polskich NGO-osów albo ewangelizuje politykę klimatyczną z Kioto i z Brukseli (w kadrze zły rząd i dobra Unia Europejska), domagając się więcej tego samego (Koalicja Klimatyczna, InE), albo znajdują sobie niszę w postaci skupienia na OZE i lirycznych opisach zielonego miasta, demokracji energetycznej i zielonego ładu (Zielony Instytut

Fundacja Przestrzenie Dialogu). Raporty tych organizacji okazjonalnie posługują się lewicową retoryką, ale w konkretnych argumentach skupiają się na rozwiązaniach z neoliberalnego dekalogu (kapitał kreatywny, edukacja jak w strategii Europa 2020, czyli urynkowanie badań i edukacji w imię konkurencyjności, więcej flexicurity w polityce społecznej, gdzie prawa socjalne to usługi, czy eko-innowacje jako rozwiązanie kryzysu ekologicznego i ucisku pracowników.) W tychże raportach na dachu każdego domu zielonego miasta jest fotowoltaika i nie ma ludzi, których nie stać na te urządzenia. Jest postulat godzenia ról i dzielenia się pracą opiekuńczą w domu, ale nie ma kobiet, które chodzą pracować w cudzych domach za grosze ani rodzin, których dochody (płaca minimalna i poniżej) wystarczają na tyle, by nie umrzeć, ale są zbyt niskie, by zapewnić podstawowe potrzeby.

„ Nie chodzi o likwidację handlu emisjami, ale o jego globalizację.

Także dyskurs akademicki zamyka się w ramach narodowego interesu, dostarcza deskryptywnych opisów polityki klimatycznej albo ewangelizuje system handlu emisjami. Szczególnym tego przykładem jest wykładnia prawna EU ETS dr Leszka Karaskiego, w której przedstawia on fiskalno-prawne narzędzia handlu emisjami jako instrument prawa globalnego, który służy człowiekowi i gwarantuje realizację praw człowieka zarówno przyszłym, jak i obecnym pokoleniom, zapewnia rozwój społeczny oraz globalny pokój poprzez wydzielenie części atmosfery dla biznesu, w przeciwieństwie do zbrojnych konfliktów o surowce. Można ironizować, iż taka retoryka będzie użyteczna, żeby uzasadnić globalny system handlu emisjami.

Polskie spory o klimat nie wychodzą więc poza repertuar z Kioto i Brukseli (inwestycje w nowe technologie, OZE, handel emisjami). Prawie nikt nie chce zobaczyć „króla bez ubrania”. Nie ma krytyki założeń polityki, która prywatyzuje przyrodę, tak jak niemal nie ma krytyki neoliberalizacji polityki społecznej. Co najwyżej NGO-sy i ekopolitycy wzywają do podwyższenia poprzeczki. Pytania o to, kto zarabia na truci i „ocalaniu” atmosfery oraz kto za to podwójnie płaci, nie są zadawane.

We wszystkich krajach UE dostawcy energii mają dwa cenniki: jeden z wyższymi cenami dla gospodarstw domowych, a drugi dla firm. W Polsce gospodarstwa domowe płacą za energię blisko dwukrotnie więcej niż firmy (zob. www.energy.eu), a na straży takiego cennika stoi Urząd Regulacji Energetyki, w tym uznając, iż za ochronę środowiska powinien płacić ostateczny użytkownik. Gospodarstwa domowe płacą także za koszt energii ucieleśnionej w produktach i usługach.

Jak w żadnym innym dyskursie, polityka klimatyczna wywołała niebywałą troskę o jej skutki dla ubogich gospodarstw domowych. Firmy, które dopisują koszt „ochrony klimatu” do rachunków ostatecznych użyt-

kowników, a także politycy, międzynarodowe i krajowe think tanki oraz NGO-sy, które dyskursywnie wspierają rynkowy model polityki klimatycznej, nagle zapalały troską o gospodarstwa domowe – na które przerzucają odpowiedzialność za klimat.

Nowa narracja

W raporcie fundacji Boella oceniającym stan polityki klimatycznej pada wezwanie do resetu i nowej narracji ze strony NGO-sów. W Polsce jednym z warunków powstania nowej narracji jest zakwestionowanie neoliberalnej normatywności w jej różnych wariantach (lewicowym i konserwatywnym) i w różnych punktach aplikacji jednocześnie: w polityce ekologicznej, społecznej, edukacyjnej, ochrony zdrowia, komunalnej.

Na to, co nazywamy „klimatem”, składa się wielość (uklasowanych, urasowanych i upściowionych) relacji między ludźmi a powietrzem, coraz szerzej i gęściej zapośredniczanych przez relacje kapitału. Jeśli w ogóle można wyznaczyć widzialny horyzont politycznych marzeń, to celem mogłoby być zbudowanie nowych dóbr wspólnych: zasobów wiedzy krytycznej i sieci relacji między i wśród różnych ruchów społecznych – pracowniczych, prawocłowiekowych, kobiecych, ekologicznych, lokatorskich – wokół warunków reprodukcji życia codziennego. Z doświadczeń takich walk i sieciowania powstanie nowa narracja, w której opieka i przyroda to dobra wspólne i podstawowe do życia potrzeby. Patrząc z perspektywy reprodukcji życia codziennego, ludzie, aby żyć, potrzebują wzajemnej opieki, instytucji, które ją zapewniają i podtrzymują wzajemne więzi, a także materialnych środków do reprodukcji życia własnego i zależnych bliskich osób. Wszystkie środki do życia, nawet postrzegane jako praca niematerialna, zapośredniczone są w relacjach z przyrodą.

„ Wszystkie środki do życia, nawet praca niematerialna, zapośredniczone są w relacjach z przyrodą.

W europejskich kulturach obowiązek opieki spoczywał na kobietach, a praca reprodukcyjna była nieodpłatna bądź nisko wynagradzana. Na materialnej i emocjonalnej pracy reprodukcyjnej opiera się fundament państwa. Bez niej ludzie nie mogliby świadczyć płatnej pracy, firmy nie miałyby pracowników i konsumentów. Począwszy od lat 1980., acz w różnym tempie i na różne sposoby, we wszystkich krajach Europy i gdzie indziej szeroko rozumiana sfera opieki ulega urynkowaniu. Ochrona zdrowia, edukacja, emerytura, mieszkalnictwo komunalne, polityka miejska i polityka państwa przeobrażane są zgodnie z regulatywnym ideałem rynku, analogicznie jak w polityce klimatycznej. Podobna ekspansja przeobraziła inne dobro wspólne – internet. Toteż „nowa narracja” nie może się odnieść do polityki klimatycznej jako takiej – musi połączyć różne walki, w których wspólną stawką jest życie.

..... (ech)

Sprzedawanie seksu i tlenu w Kostaryce



Flickr.com by G. Carrillo

Ana Isla w tekście o znaczącym tytule *Kto płaci za protokół z Kioto? Sprzedawanie tlenu i seksu w Kostaryce* zwraca uwagę na pułapkę, jaką bogata Północ, a konkretnie elita ekomanedżerów zgotowała ubogim z globalnego Południa pod pretekstem dbałości o przyrodę.

Zatroskani o zmniejszenie efektu cieplarnianego, globalni zarządcy środowiska wpadli w pewnym momencie na pomysł, że samo zmniejszenie emisji ma wartość wyrażalną i mierzalną ekonomicznie. Można więc tą wartością zarządzać rynkowo, a nawet nią handlować. Stąd niedaleko już do pomysłu, by jedni odkupywali tę wartość od drugich. Zamiast inwestować w zmniejszenie emisji CO2, bogate kraje i firmy z globalnej Północy mogą odkupić certyfikaty emisji od tych, co emitują mniej niż przewidziano.

Następnie pojawiła się teoria „carbon sinks”, czyli zbiorników, które pochłaniają CO2. Taką rolę mogą pełnić południowoamerykańskie lasy deszczowe. Tak też się stało. Lasy deszczowe uznano za niemal globalną wartość, a państwa, na których terenie się one znajdują, oddały je do dyspozycji koncernom lub zamieniły na zarządzane z zewnątrz rezerwy.

Wszystko na pierwszy rzut oka gra. Gdy jednak przyjrzymy się, wraz z Aną Islą, temu, co się dzieje na przykład w Kostaryce, odkrywamy, że zostaliśmy oszukani po raz kolejny, a pod płaszczykiem nowoczesnej polityki sprzedano nam zysk nielicznych beneficjentów i wyzysk nieco bardziej licznej ludności lokalnej.

W polityce liczą się wielcy właściciele, a nie mali. Zarząd lasów deszczowych premiuje i preferuje własność wielkopowierzchniową. Mieszkańcy, którzy nie posiadali niczego, lub drobni rolnicy wynajmujący chaty (ranchos) stali się mieszkańcami slumsów (tugurios). Lasy deszczowe stały się przedsiębiorstwami, gdzie się sadi, zbiera i zarabia – przy okazji ingerując w ekosystem. Ale kogo to obchodzi, skoro sadzenie obcych tam gatunków drzew generuje zysk z ich sprzedaży? Z jednej strony kapitalistyczne przewartościowanie zasobów przyrody w rynkowe dobra o mierzalnej wartości, z drugiej patriarchalne zarządzanie środowiskiem godzą w lokalne społeczności.

Przy okazji sprzedaży tlenu bogatej Północy mieszkańcy biedniejszego Południa zostali wyłączeni bez odszkodowania czy alternatywnych źródeł dochodu. Ze świata, w którym gospodarując tradycyjnie, w oparciu o przyrodę i pracę opiekuńczą kobiet, zapewniali sobie warunki do życia, zesłani zostali do świata, gdzie liczy się tylko pieniądź.

Eksmisja umieściła Kostarykanki na marginesie światowej ekonomii. Kobiety okazały się tymi, którzy mogą swoim bliskim zapewnić przerwanie w miejskich slumsach. Skoro sprzedaż to jedyna reguła, to na przykład kobiety sprzedają swoje ciała, bo nie mają do zaoferowania nic innego. Ich klienci pochodzą z krajów, gdzie mieszczą się siedziby instytucji współodpowiedzialnych, na równi z lokalnymi decydentami, za dług Kostaryki.

Co szczególnie uderzające, za zjawiska te obok państwa i patriarchalnego kapitalizmu są odpowiedzialni ekolodzy i potężne północne ekologiczne organizacje pozarządowe, przyczyniające się do wyzysku lokalnej ludności. Dominacji kredytodawców nad dłużnikami towarzyszy dominacja nad kobietami. Wyzysk przybiera postać handlu ludźmi – kobietami i dziećmi. Zyski z tego handlu – oskarża Ana Isla – trafiają do kredytodawców. Zadłużenie Kostaryki w instytucjach finansowych przypomina zadłużenie kobiet u ich alfonsov.

Ten argument powinien wystarczyć, by podać krytycznej rewizji koncepcję i praktykę czynienia z południowoamerykańskich lasów deszczowych zbiornika tlenu dla Północy, jak również ideę „handlowania” zasobami naturalnymi, która służy praktyce neokolonialnego wyzysku.

Na pozorność korzyści wynikających z handlowania tlenem wskazują kolejne okoliczności. Przedsiębiorstwa, które działają na terenie lasów deszczowych, bynajmniej nie zachowują tej odgradzonej od tradycyjnych jej współmieszkańców przyrody w stanie nienaruszonym, co – być może – mogłoby stanowić jakieś absurdalne uzasadnienie „kosztów ludzkich” tych inwestycji. Zajmując się produkowaniem mierzalnego zysku, wydobywają surowce z ziemi, korzystają z zasobów bioróżnorodności, zastępując tradycyjne gatunki bardziej „ekonomicznymi”. Może to prowadzić, pod wciąż szczytnymi hasłami, do destrukcji lasów deszczowych w imię zysku – jedynej wartości, jakiej służą. (id)

Ana Isla. *Kto płaci za protokół z Kioto? Sprzedawanie seksu i tlenu w Kostaryce*. W: *Ekoowsytarczalność i globalna sprawiedliwość*, pod redakcją Ariel Salleh. Londyn: Pluto Press. 2009

(Ana Isla. 'Who pays for the Kyoto Protocol?' http://www.gift-economy.com/womenand/womenand_tragedy.html Selling Oxygen and Selling Sex in Costa Rica, w: *Eco – Sufficiency and Global Justice. Women write political ecology*, red. Ariel Salleh, London; New York, NY: Pluto Press, 2009) In English also here

Stadion Narodowy i podgrzewanie klimatu

19. szczyt klimatyczny odbędzie się na Stadionie Narodowym. Polska prezydencja COP19 prowadzona jest pod hasłem „I care” - zależy mi/troszczyć się (w domyśle: o klimat). Igrzyska Euro2012, na rzecz których wybudowano Stadion Narodowy, miały również swoje „ekologiczne” hasło: „Graj w zielone - Zazielenianie mistrzostw EURO 2012”. W jednym i drugim przypadku rząd nawołuje do indywidualnej odpowiedzialności za ochronę środowiska i klimatu: w przypadku Euro do kibiców (by nie śmieć i używać komunikacji zbiorowej), a w przypadku COP19 do każdej i każdego z nas, twierdząc, że zmiana zaczyna się od jednostki, która powinna oszczędzać energię i segregować śmieci. Między innymi taki język sprawia, że rzeczywiste społeczne i ekologiczne koszty Stadionu Narodowego i innych spektakularnych inwestycji zostały uwiedocznione.

Budowa Stadionu wymagała wkładu surowców, pracy i kapitału. Można je było przeznaczyć na cele, które sprzyjają jakości życia i nie niszczą bezpowrotnie przyrody. Stadion to elektryczne urządzenie, zużywa tyle prądu co 7-tysięczne miasteczko. Murawa na stadionie, by nie przemarzła, wymaga w naszej strefie klimatycznej ciągłego ogrzewania. Jednocześnie, jak wskazują dane Eurostatu, w Polsce aż 13,6% ludności żyje w niedogranych mieszkaniach. W Gdańsku pod budowę PGE Arena przeprowadzono wycinkę drzew oraz krzewów i zlikwidowano ok. 30ha ogródków działkowych

- miejsc wypoczynku i produkcji żywności na własne potrzeby. Podobnie stało się w Poznaniu.

Budowa finansowana była ze środków publicznych, w tym dotacji UE, a więc kosztem podatników z całej Europy, oraz na kredyt - kosztem zadłużenia Warszawy, czego skutki ponoszą mieszkańcy. Stadion kosztował ponad 2 mld zł, co stanowi ponad 2,5 krotność rocznych wydatków miasta na opiekę społeczną. Jego roczne utrzymanie to ok. 42 mln zł; za taką kwotę co miesiąc można byłoby wybudować przedszkole publiczne. By Stadion mógł powstać, zlikwidowano największe targowisko w Polsce; ok. 4,5 tys. kupców straciło pracę lub zostało przesiedlonych do gorszych lokalizacji. Nie były to jedyne społeczne koszty jego budowy.

W 2011 r. na placu budowy Stadionu miał miejsce wypadek śmiertelny - pracownik spadł z dachu stadionu z wysokości 30 metrów. Był to jeden z czterech śmiertelnych wypadków przy budowie stadionów na igrzyska; wszystkie były spowodowane zaniedbaniami bezpieczeństwa pracowników. W okresie budów i podczas igrzysk miało miejsce kilkanaście protestów pracowniczych; wszystkie były związane z niewypłacaniem pensji lub zniżeniem stawek. Po zakończonej imprezie te problemy zamieciono pod dywan.

Z uwagi na te konsekwencje budowa stadionów na UEFA EURO 2012 wywołała opór społeczny. Zorganizowana została kampania „Chleba zamiast igrzysk”, która odnio-



foto. K. Pawlik

sła się do problemów zadłużenia miast, eksmisji lokatorów, wyzysku pracowników. Raport Think Tanku Feministycznego „Dlaczego dostałyśmy igrzyska zamiast chleba” zwrócił uwagę, iż druga strona społecznych i ekologicznych kosztów budowy to wydobywanie wartości z miasta, nakręcanie wzrostu gospodarczego i intensyfikacja nadzoru, by zabezpieczyć zyski i interesy elit kosztem większości ludzi. Budowa stadionów pociągnęła za sobą zadłużenie budżetów gminnych i stała się kolejnym pretekstem do cięć w wydatkach na podstawowe potrzeby mieszkańców. We wszystkich czterech miastach, gdzie budowano stadiony na Euro2012, wprowadzono podwyż-

ki cen biletów za komunikację miejską, jednocześnie redukując pojęcia. We Wrocławiu w okresie budowy stadionu wzrosły czynniki za lokale komunalne, przy czym nakłady na utrzymanie mieszkań komunalnych spadły. W Poznaniu pracownicy żłobków dowiedzieli się od władz, że nie dostaną podwyżek, bo miasto organizuje Euro. W Warszawie, gdy budowa stadionu dobiegała końca, władze miasta rozpoczęły likwidację i prywatyzację stołówek szkolnych.

Hasło polskiej prezydencji szczytu klimatycznego - „I care” - jest pełnym hipokryzji kamuflażem polityk prowadzonych przez rząd i samorządy, które przenoszą ciężar opieki i reprodukcji życia codzien-

nego oraz koszty wyczerpywania i niszczenia przyrody na obywateli i podatników, jako ich indywidualny obowiązek. Znaczną częścią tych obowiązków obciążone są kobiety. W te ramy wpisuje się również historia Stadionu Narodowego. Energia wykorzystana na takie spektakularne inwestycje nie przyniesie żadnych powszechnych i uniwersalnych korzyści. Wzrost gospodarczy ponad wszystko, zyski biznesu czy kreowanie miasta i kraju jako marki wobec rynków finansowych stawiane są ponad dobrostan ludzi i przyrody - tak samo jak w polityce klimatycznej.

(gm)

Klimat: widok ze śmietnika

Nasi pradziadkowie i prababcie śmieci nie mieli. Ubrania się nosiło międzypokoleniowo, gdy się przecierały, nicowano je, przerabiano na dziecięce, na ściereki.. Jedzenia się nie wyrzucało, popiół wysypywało na grządki. Rzeczy przechodziły z pokolenia na pokolenie i się szybko nie rozpadały, bo nie były z masowej produkcji.

Rynek, każący zmieniać samochody co kilka lat, a bluzeczki co sezon, się jeszcze nie narodził. A potem poszło z górki - za dużo rzeczy, by je trzymać, masowa produkcja rzeczy, które muszą być z definicji nietrwałe, darmowe foliówki i każdy produkt w trzech warstwach folii, papieru i nie wiadomo czego jeszcze. Zanim zaczęła się moda na meble po dziadkach i wydziergane ręcznie skarpetki, pojawił się problem śmietników.

Najpierw po prostu były. Potem zaczęły być przepełnione. I były jeszcze śmierzdzące zsypy w wieżowcach. I śmieci podrzucane do lasu, po tym jak wprowadzono opłaty i sprywatyzowano wywóz śmieci. Pomysł, by coś z tym zrobić, skierowano do młodego pokolenia. Oni do domu ze szkoły wrócili i dziadkom przekażą, że plastik - tu, a bio - tam. I jak raz w roku pobiegają z workami na śmieci po okolicznym skwerze, to może zastanowią się, zanim rzucą tam kolejną puszkę, butelkę, kartonik. Choć przecież starsi od zawsze składali torby po cukrze i słoiki. Za opakowania szklane dostawało się parę groszy

na skupie, a makulaturę odnosiło do szkoły.

Dziś, gdy panuje nadprodukcja odpadów, segregacja śmieci i edukacja w tej dziedzinie są niezbędne. Ustawa śmieciowa jest absolutną koniecznością, jednak jej wprowadzenie spowodowało silny opór. Dlaczego tak się stało?

Opory i protesty mieszkańców nie brały się znikąd, tylko z imperialistycznego stylu wprowadzania wszystkich decyzji władzy, także tej o śmieciach. To sposób komunikacji, skrajnie lekceważący mieszkańców i niepozwalający im dojść do głosu, lub zupełny jej brak były odpowiedzialne za ludzkie protesty i niezgody.

Dyskurs władzy od lat mówi „lud jest ciemny i nie chce segregować”. Władza każe, lud ma się podporządkować. W moim pojemniku segregacyjnym wciąż straszą obierki w folii, a puste butelki w niesegregacyjnym. Lud olał dekret i robi coś władzy na złość? Bo dopóki segregacja jest kolejnym carskim dekretem, nawet pod groźbą kary my się władzy nie damy.

Gorzej z segregacją przez instytucje: mimo drastycznego wzrostu opłat publiczne instytucje nie segregują. Papier z miejskiej administracji lokali trafia do pojemnika na bio, liście sprzątane z chodnika przez wynajętą przez miasto firmę do pojemnika na surowce. Mieszkańcy widzą, że dekret obowiązuje jedynie maluczkich - władza jest ponad prawem. To wyraźny

komunikat, że w rzeczywistości wcale nie chodzi o jakąś segregację, ekologię, zrównoważony rozwój czy jakość życia w mieście.

W Łodzi miejska legenda o śmieciarkach, które wywożą wszystko jak leci, ożyła za sprawą lokalnej dziennikarki. Wioletta Gnacikowska zapytała o los pakowanych do jednego wozu śmieci różnego rodzaju i otrzymała standardową zapewne odpowiedź, że segregacja nastąpi na „wysypie”. „Wysypisko obsługujące łódzkie Bałuty jest w Krośniewicach, sortownia w Kutnie, a kompostownia, do której powinny trafić mokre bioodpady - w Łodzi” - napisała w łódzkim dodatku „Wyborczej” z 12 października. Czy warto śmieci z Łodzi wozic 80 kilometrów do Kutna, stamtąd 16 kilometrów do Krośniewic i niemal setkę z powrotem do łódzkiej kompostowni? - pyta dziennikarka w imieniu mieszkańców. I podobnie jak mieszkańcy żądający rzetelnej polityki śmieciowej nie uzyskuje żadnej odpowiedzi, poza biurokratycznymi wykrętami firmy wybranej przez miasto.

Ustawa śmieciowa ma więcej ofiar. Nagła zmiana zasad wycięła z rynku jednych, wpuściła innych. Działalność musieli zamknąć byli pracownicy miejskich służb oczyszczania, którzy na skutek poprzedniej reformy - zlecenia usług w przetargu - zostali zmuszeni do samozatrudnienia i zakupu - często na na kredyt - śmieciarek. Wrócili do punktu wyjścia, zwalnając tych, których po drodze zatrudnili. Wśród ekonomicznie zmotywowanych mieszkańców zwiększył się nie tylko trend do zamykania śmietników, ale i niechęć wobec tradycyjnej bezpłatnej segregacji dokonywanej dotąd przez tak zwanych 'nurków'.

Ekonomizacja ekologii na usługach ustawy śmieciowej boleśnie



foto. I. Desperak

uderzyła w solidarność społeczną i tradycyjne wartości, niezezwalając na marnowanie czegokolwiek i każące niepotrzebne a przydatne jeszcze rzeczy dzielić z innymi. Wraz ze śmieciową rewolucją zniknęły przydomowe wystawki, nieregulaminowe pojemniki na suchy chleb, kartony na sterty reklam i stare czasopisma, worki z czystymi ubraniami - z których żyli 'nurkowie', ale i korzystali mieszkańcy. Teraz „graty” chcą odbierać od nas

firmy, które na tym zarabiają, więc odbierają tylko to, co im się opłaca. Tradycja dzielenia się z potrzebującymi współgrała z oszczędnością, przekazywaniem rzeczy dalej, szacunkiem dla ich wartości, trwałości - co nie miało nic wspólnego z rachunkiem ekonomicznym. Wraz z uekonomicznieniem zachowań związanych ze śmieciami zostały one skazane na niebyt.

(id)

Ubóstwo energetyczne – klimaty na dole



Rząd Polski pracuje nad tzw. programem antysmogowym. Jego celem jest m.in. wyeliminowanie domowych pieców węglowych jako nieekologicznych sposobów ogrzewania. Władze Krakowa czy Wałbrzycha już zapowiedziały wprowadzenie tych programów. Lokalne programy zakładają kary za palenie węglem. Jak wpłynie to na życie ludzi?

W Polsce około 1,3 mln gospodarstw domowych grzeje tradycyjnymi piecami na węgiel, a 4,5 mln korzysta z kotłów na paliwo stałe – zazwyczaj węgiel (GUS 2012). 16,3% gospodarstw ma problem z utrzymaniem właściwej temperatury w domu, a 12,5% – z płaceniem zaległych rachunków za energię (dane Eurostat). Z powodu wychłodzenia zimą 2012/13 zmarło w Polsce 167 osób. Postanowiliśmy zapytać trzy mieszkanki Wrocławia i Krakowa o ich doświadczenia związane z paleniem węglem oraz opinie na temat zmian w prawie.

Kasia z podwrocławskich Bielanych mieszka w dużym, dwupiętrowym domu o powierzchni ok. 200m² wybudowanym w latach 70. Razem mieszka 5 osób, babcia na dole, Kasia i jej rodzina na górze. Tylko Kasia pracuje, jej matka i brat mają jedynie prace dorywcze. W domu zainstalowany jest stary piec na węgiel. Ogrzewanie prądem wychodzi dużo drożej.

– Czasem udaje się kupić węgiel w sierpniu, kiedy taniej – mówi Kasia. – W sierpniu tona kosztuje 700 zł, czyli tanio, a teraz płaciliśmy 450 za pół tony. Ale nie zawsze mamy pieniądze w tym terminie... Cały czas cena węgla idzie w górę, a na całą

zimę potrzeba ok 1,5 tony. My to i tak się męczymy...

Piec jest w piwnicy, na samym dole, gdzie rodzina przechowuje węgiel. Dokładaniem do pieca zajmuje się brat Kasi. – Gdyby chcieć to prawidłowo robić, to trzeba co trzy godziny dokładać ok. 5 kg węgla. Ale faktycznie my palimy tak, jak nas stać. Zimą to mamy w większości zimno. Najcieplej ma moja babcia, bo ona mieszka na parterze, tam na dole, wiesz, jest piwnica i piec, a odkąd jest niedość, to jej zrobiliśmy jeszcze taki jeden piecyk, on jest taki mały, że nawet jak nie mamy pieniędzy, to można wrzucić parę drewniaków i u niej jest już ciepło.

Ogrzewanie gazowe jest dużo droższe niż węgiel. Kasia i jej rodziny na to nie stać. Nie mają pieniędzy, żeby zainwestować w piec gazowy i starać się o refundację. – Na fachowców nas nie stać. Taki dom to jest mega ciężko utrzymać, starzeje się, wszystko niszczy się, nie ma pieniędzy żeby to wymalować, wyremontować. Mój dziadek zmarł parę lat temu, nie ma gospodarza, co by się wszystkim zajął. A dziadek całą gospodarką się zajmował, wszystko ci zrobił w domu... A teraz jest kiepsko.

W podobnej sytuacji są sąsiedzi Kasi z osiedla na Bielanych, w większości starsi ludzie, którzy palą węglem czy jeszcze tańszym miałem węglowym. – Te nowe domki, co się budują na Bielanych, wiesz – teraz jest mnóstwo jakichś nowych posesji – to może stać na jakieś gazowe czy podłogowe.

Daria mieszka z dwójką dzieci w starej 100-letniej kamienicy na Nadodrzu. Nie doczekała się głośniejszej „rewitalizacji”, podobnie jak większość ka-

mienic w dzielnicy. Została za to sprzedana wraz z lokatorami nowemu właścicielowi, który chce się pozbyć lokatorów za wszelką cenę. Lokatorki i lokatorzy podjęli strajk czynszowy. Jej mieszkanie jest w oficynie głównej kamienicy na drugim piętrze: 44 m², 3,5 metra wysokości. Z jednej i drugiej strony nie ma sąsiadów i mieszkanie jest strasznie zimne. Kamienica jest nieremontowana, nieocieplona, nie zostały wymienione okna. Mieszkanie ogrzewane jest elektrycznie, ponieważ nie ma gdzie trzymać opału – nowy właściciel zablokował schowek.

Tylko w jednym pokoju stoi piec kaflowy na węgiel tudzież drewno. Wcześniej, przez pierwsze dwie zimy, paliła węglem, a potem było drewno i brykiet, ale głównie drewno. – Najpierw ze składu drewna, tak normalnie, a w drugą zimę było cały czas palone odpadami poremontowymi z innego mieszkania – jakieś podłogi, stare szafy, okna. Co nie było zbyt fajne, ponieważ często to drewno miało lakiery i farby, nie i wszystko to śmierdziało.

Później składowała węgiel w piwnicy, nosiła na drugie piętro. Było to strasznie uciążliwe. Węgiel kupowany był na targu na Ptasiej, pewnie pochodził z biedaszybów.

– Przyjeżdżały ciężarówki, które miały cztery przegrody, i się kupowało jedną albo dwie przegrody. Nie starczało, i w marcu trzeba było jeszcze dogrzewać. Dogrzewaliśmy elektrycznie, bo już się nie opłacało kupować nowego węgla. Piec jest nieszczelny i się strasznie bałam, mimo czujników czadu. Poza tym i tak trzeba mieć drewno na rozpalkę. To jest strasznie dużo roboty, zwłaszcza

jeśli się kupi zły węgiel. Czasami zdarza się, że dorzucają kamieni, żeby na wadze było tyle samo, no i czasem wyjmowało się kamienie zamiast popiołu. Poza tym węgiel strasznie brudzi, śmierdzi i jest pełno syfu wokół.

Sąsiedzi na górze mają kozę, na drewno, sąsiedzi poniżej kominiek z rozprowadzeniem, a sąsiadka naprzeciwko piec kaflowy, jeden na dwa pokoje, co nie było dobrym rozwiązaniem, bo ciepło uciekało przez mur. Większość ludzi jest skazana na ten węgiel ze względów ekonomicznych. Zwłaszcza w tym rejonie. Ale jednocześnie ludzie palą cokolwiek, bez świadomości. Najgorsze jest to, że trudno znaleźć naprawdę dobry węgiel, kaloryczny, a nie jakieś kamienie.

Maria mieszka wraz z mężem i dwójką dzieci w Krakowie, w starej kamienicy, która jest własnością jej rodziców. Pracują na zmianę.

– W piecu paliło się od zawsze. Rocznie trzeba było kupić 1,5 tony węgla. Palenie zajmowało około godziny dziennie. Trzeba przynieść węgiel, wyczyścić popiół, załadować i dokładać. W marcu 2013 roku, po zakończeniu sezonu grzewczego, zdecydowaliśmy się na rozbiorę pieca kaflowego. Pojawił się grzyb. Wcześniej piec osuszał. W 2010 roku miasto dofinansowywało zmianę pieców w kwocie stałej 2000 PLN bez względu na to, jaki piec zakupywano. W 2011 nie było dotacji. Teraz miasto całkowicie pokrywa koszty zmiany pieca. Jest to na zasadach konkursu, gdzie przyznawane są punkty w zależności od ilości pieców do rozebrania, ale również lokalizacji. Więcej punktów za centrum, bardziej zanieczyszczone dzielnice. Te czystsze nie dostają tyle punktów.

W tym roku były dwie tury głosowania: pierwsza w styczniu, druga w czerwcu. Maria nie dostała dofinansowania. Ogłoszono trzecią turę we wrześniu i dofinansowanie jest, ale do tej pory nikt z nią się w tej sprawie nie kontaktował.

Dotacje te nie są dostępne dla wszystkich. Najpierw trzeba mieć środki na sfinansowanie wymiany pieców, punkty i szczęście w konkurencji z innymi o dotację.

.....
(mm, azm)

Dziękujemy Ewie z Akcji Lokatorskiej za udział w przeprowadzeniu wywiadów



Think Tank Feministyczny współtworzy feminizm jako nową krytykę społeczną. Pojmujemy badania partycypacyjne, analizy polityk i tworzymy videodokumenty. Wkładkę na temat polityki klimatycznej przygotowali: Ewa Charkiewicz, Iza Desperak, Gośka Maciejewska, Marcin Marszałek i Anna Zachorowska. Odwiedźcie nas na www.ekologiasztuka.pl/think.tank.feministyczny. Zapraszamy także do nowej biblioteki online – Ekologia Polityczna, na www.ekologiasztuka.pl/ekologia.ekonomia.